

TEMATY TYGODNIA

- 8 Jerzy Baczyński
Wprost spod stołu
- 10 Janina Paradowska
Podśluchy i polityka
- 12 Jacek Żakowski
Prawo do prywatności
- 15 Piotr Pytlakowski
Tajemnice dziennikarza Piotra Nisztor
- 16 Juliusz Ćwieluch
Restauracje wysokiego ryzyka

SPOŁECZEŃSTWO

- 20 Joanna Drosio-Czaplińska
Ojcostwo to nie tacierzyństwo
- 23 Marek Henzler
Coraz więcej stulatków
- 26 Elżbieta Turlej
Za mundurem młodzi sznurem
- 30 Paweł Walewski
Antyantykoncepcja
- 32 Ewa Kaleta
Polki zakładają chusty

SYLWETKA

- 35 Joanna Solska
Marek Belka – kolejny raz na deskach

RYNEK

- 38 Adam Grzeszak
Czy gotówka zniknie

ŚWIAT

- 44 Patrycja Sasnal
Straszne państwo dżihadystów
- 47 Łukasz Wójcik
Uber, straszak na taksówkarzy
- 50 Ignacy Niemczycki
UNIA EUROPEJSKA Jean-Claude Juncker – przez przypadek szefem KE?

PORTRETY MIAST POLSKICH

- 53 Poznań – miasto za firankami

W NUMERZE

POLITYKA 26/25.06–1.07.2014



20 Powrót taty



32 Życie pod chustą



44 Nad wrakiem Iraku

HISTORIA

- 66 Piotr Szlanta
1908 r. – wtedy zaczęła pękać Europa
- 70 Piotr Długołęcki
Jak SB utrudniało życie zagranicznym korespondentom

NAUKA

- 72 Rozmowa z neurofilozofką
Patricią Churchland o hormonach szczęścia
- 76 Marek Ostrowski
Amerykańska szkoła uczy inaczej

KULTURA

- 82 Mirosław Pęczak
Nasz Bob Dylan
- 85 Aneta Kyzioł „**Golgota Picnic**”: skąd te emocje?
- 88 Agata Pyzik
OGLĄD I POGLĄD Komu podobał się PRL
- 91 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 92 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 94 Ryszard Wolff
Psychodramy przy urządzaniu domu
- 97 Paweł Walewski
Człowiek zarządzany światłem
- 100 Sławomir Mizerski
PIŁKARSKA ŁOŻA POLITYKI

NA WŁASNE OCZY

- 108 Piotr Pytlakowski
fotografie Stanisław Ciok
Jak demonstrować, to tylko w Warszawie!

STAŁE RUBRYKI

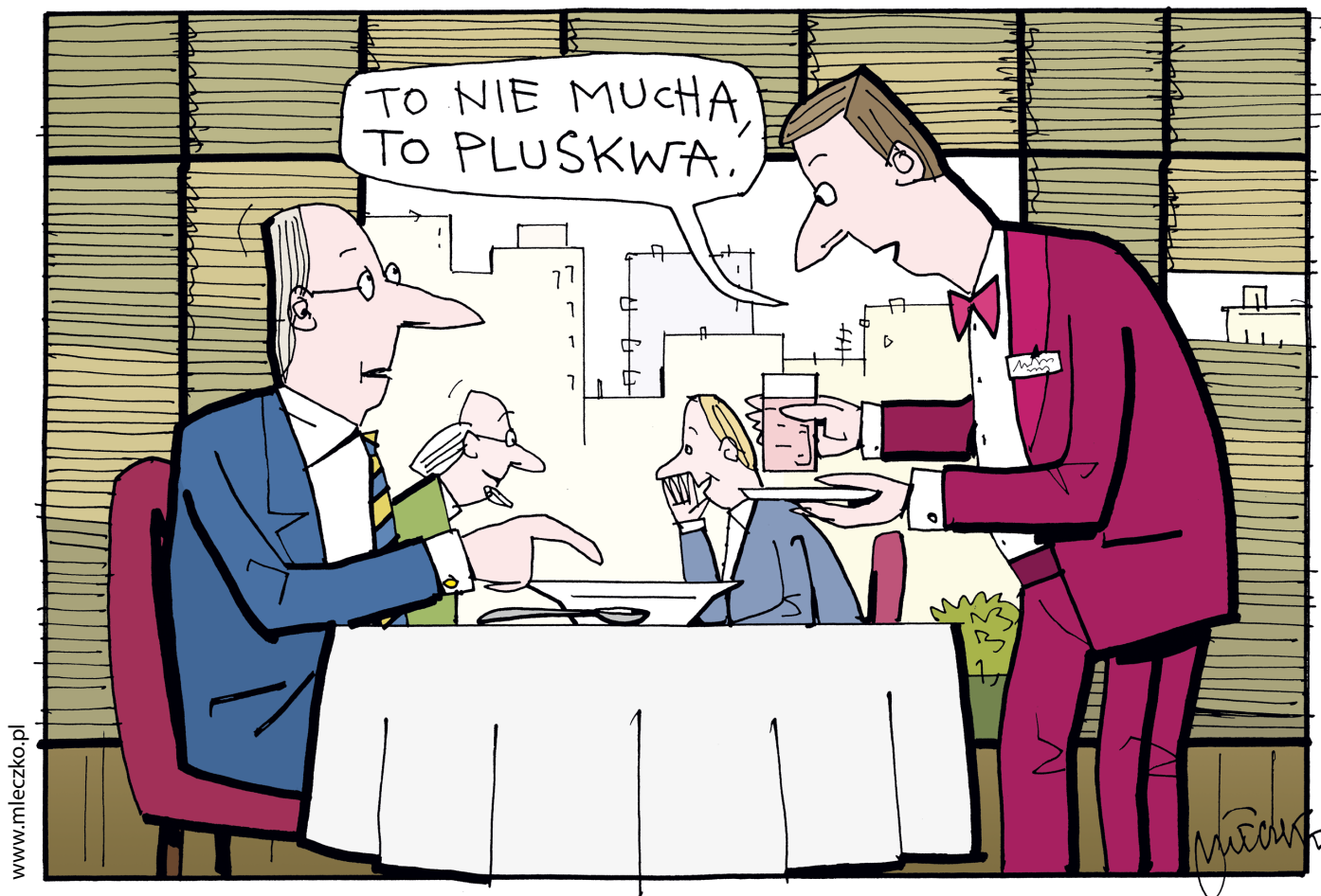
- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 102 Hartman
- 104 Passent • 105 Tym
- 106 Fusy • 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaje



Poznań. Zamożna twierdza

Gośno zrobiło się o Poznaniu za sprawą festiwalu Malta i odwołanego spektaklu „Golgota Picnic” Rodriga Garcíi. Organizatorzy ulegli wielotygodniowej nagonce środowisk katolickich na kontrowersyjne przedstawienie i niepewności, czy policja zagwarantuje bezpieczeństwo aktorom i widzom. Czy to jednak przypadek, że do skandalu doszło w Poznaniu? Częściowej odpowiedzi udzielamy

w tym numerze POLITYKI w raporcie o Poznaniu przygotowanym w ramach cyklu „Portrety miast polskich” (wysłanym do druku, zanim odwołano przedstawienie). Prezentujemy w nim miasto o najmniejszym w Polsce bezrobociu, zamożne i gospodarne, jednocześnie jednak zamknięte i kryjące się za „zastłoniętymi firankami”. Rozsuwamy je nieco, zapraszając jednocześnie do dyskusji w internecie w serwisie: portretymiast.blog.polityka.pl. O „Golgota Picnic” – czytaj s. 85.



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŃKOWSKA 140

www.mleczko.pl

felieton



sławomir mizerski z życia sfer

Nielegalne taśmy i kamieni kupa

Życie polityczne opuściło duszne gabinety najważniejszych osób w państwie i przeniosło się do nielegalnych nagrań. To tam prowadzi się dziś ważne rozmowy i podejmuje istotne dla kraju decyzje. Z udostępnianych bezpłatnie nielegalnych nagrań możemy czerpać wiedzę o planowanych inwestycjach i pracach nad kluczowymi ustawami, dowiemy się także, kto jest jakim ch... i co z tego wynika dla budżetu państwa. Przy okazji istnienie nielegalnych nagrań pozwala przetrwać ujawniającym je mediom, bo gdyby media te musiały żyć z relacjonowania wydarzeń sejmowych i konferencji prasowych różnych partii, dawno by upadły.

Moim zdaniem to trochę nie fair, że w nielegalnych nagraniach występują tylko przedstawiciele władzy, zabierając cały czas antenę, a polityków innych opcji dyskryminuje się i wyklucza z de-

baty. Prezes Kaczyński od dawna daje do zrozumienia, że o premierze i jego sitwie wie rzeczy nadające się do nielegalnych nagrań, dlatego trochę dziwi fakt, że nikt nie jest zainteresowany, aby tych nagrań dokonać i je ujawnić.

Jakie działania podejmie rząd w odpowiedzi na nielegalne nagrania? Otóż nie można wykluczyć, że rząd nie podejmie żadnych działań w obawie, że rozmowy dotyczące tych działań mogłyby zostać przez kogoś nagrane i opublikowane. Wiadomo, że nielegalnie nagrana rozmowa na temat tego, że ten czy inny minister zamierza coś zrobić, może być dowodem na jego udział w jakiejś sitwie (podobnie zresztą jak i nielegalnie nagrana rozmowa na temat tego, że nie zamierza on nic zrobić). Osobiście uważam, że podczas nielegalnych nagrań najlepiej nic nie mówić, chociaż oczywiście takie niczym

nieuzasadnione milczenie może wskazywać na to, że się coś próbuje ukryć (prawdopodobnie dlatego, że jest się w jakiejś szczególnie przebiegłej sitwie).

Co zatem może zrobić rząd, który nie może nic zrobić? Moim zdaniem rząd może liczyć na to, że w końcu pojawią się jakieś nielegalne nagrania, z których będzie jasno wynikało, że jest on bardzo dobrym rządem, skutecznie stawiającym czoła wyzwaniom, przed jakimi stoi Polska. Nagrania takie pozwoliłyby podbudować słabnącą pozycję rządu w sondażach, a także wzmacnić kurs złotego i prestiż Polski na arenie międzynarodowej. Z tym że nie wiadomo, kto i dlaczego miałby tych nagrań dokonać oraz kto zgodziłby się w nich wystąpić. Poza tym zdaniem ekspertów ds. służb, takie nagrania wymagałyby zwiększonej ilości alkoholu, co mogłoby poważnie osłabić ich jakość i wyraźną wymowę.

Oferta ważna od 23.06 do 29.06

WYGRAŁA JAKOŚĆ!

Produkty **Pilos** nagrodzone godłem



TERAZ POLSKA

minimum **20%** taniej

Już po raz trzeci produkty marki własnej sieci Lidl zostały uhonorowane prestiżowym Godłem „Teraz Polska”. W XXIV edycji konkursu, spośród setki zgłoszeń, Kapituła Konkursu nagrodziła linię wyrobów nabiałowych marki Pilos. Jesteśmy dumni, że jakość naszych produktów pozostaje niezmiennie na najwyższym poziomie.

Kefir kremowy
1 kg/1 opak.

229
~~2,89~~

Jogurt typu greckiego
400 g/1 opak.
1 kg=3,98

159
~~1,99~~



Maślanka naturalna
1 L/1 opak.

179
~~2,29~~



Więcej informacji na www.lidl.pl.

Telefoniczne rozmowy pokojowe

Po pierwszym spotkaniu Petro Poroszenki z Władimirem Putinem w Normandii nastąpiły dramatyczne wydarzenia – zestrzelenie przez rebeliantów samolotu z 49 ukraińskimi żołnierzami na pokładzie, śmierć dwóch rosyjskich dziennikarzy. Zdecydowana ofensywa sił rządowych sprawia, że pierścień wokół buntowników zacieśnia się, a uszczelnienie granicy z Rosją odcina dostawy broni.

I wtedy rozdzwoniły się telefony, zarówno na linii Berlin–Paryż–Moskwa, jak i między Kijowem i Moskwą: Poroszenko rozmawiał z Putinem. Prezydent Ukrainy zapewnił, że gwarantuje bezpieczeństwo wszystkim mieszkańcom regionu, niezależnie od przekonań politycznych. Jego plan pokojowy przewiduje amnestię dla uczestników walk, jeśli nie popełnili ciężkich przestępstw i złożą broń, utworzenie strefy buforowej – najemnicy rosyjscy mogliby opuścić teren Ukrainy przez specjalnie utworzony korytarz. Mówi się o zwolnieniu zakładników, opuszczeniu budynków zajętych przez rebeliantów, a dalej plan zakłada zmiany w konstytucji umożliwiające decentralizację władzy, ochronę języka rosyjskiego oraz, w perspektywie, przedterminowe wybory parlamentarne.

Rosyjski prezydent uznał początkowo, że to wyłącznie ultimatum stawiane separatystom, a nie zaproszenie do rozmów pokojowych. W tym samym czasie toczyły się rosyjsko-ukraińskie negocjacje gazowe, zakończone zresztą klinczem. Rosja zakreśliła kurek, ale Kijów zagroził arbitrażem w Sztokholmie. Zanim obaj prezydenci odbyli kolejną rozmowę telefoniczną, Poroszenko dokonał także zmiany na stanowisku ministra spraw zagranicznych, bo możliwość negocjacyjna Andrija Deszczyca z Sergiejem Ławrowem wyczerpała się definitywnie. Jak donoszą ukraińskie źródła, Poroszenko rozmawiał z Angelą Merkel i Joe Bidenem, a kanclerz Merkel i prezydent François Hollande – z Putinem. Ostatecznie Putin poparł plan pokojowy Poroszenki i obiecał współdziałanie. Lider ruchu ukraiński Wybór Wiktor Medwedczuk występuje w roli mediatora z separatystami w Doniecku i Ługańsku. Medwedczuk jest politykiem bliskim Putinowi nie tylko ze względu na poglądy polityczne: Putin jest ojcem chrzestnym córki Medwedczuka, zatem prywatnie są kumami.



© POLARIS/EAST NEWS

Pełzające zło

Zgliczka nigeryjskiej miejscowości na pograniczu z Kamerunem po ataku islamistów z Boko Haram

Boko Haram rozprzestrzenia się po Afryce Zachodniej jak sunniccy rebelianci po Bliskim Wschodzie. Takie ostrzeżenia płyną z Kamerunu, gdzie ukrywać się mają oddziały islamskich fundamentalistów, które później przechodzą do Nigerii, by tam toczyć swój dżihad. Tam też może znajdować się część z ponad dwustu dziewczynek uprowadzonych w połowie kwietnia z jednej z nigeryjskich szkół. Członkowie Boko Haram mają również przenikać do Nigru i Czadu. Ich rządy, tak jak rząd nigeryjski – i to mimo międzynarodowego wsparcia płynącego m.in. z USA – nie potrafią powstrzymać ruchu, który pod hasłem walki z wpływami cywilizacji zachodniej niemal codziennie pacyfikuje – a więc pali i wymordowuje – wsie północno-wschodniej Nigerii. Ludność cywilna tych słabo zamieszkałych rejonów albo ucieka dziesiątkami tysięcy z domów, albo chce sama tworzyć milicje, brakuje jej jednak broni.

Swoje powstanie Boko Haram zaczynało pięć lat temu od ataków na chrześcijan oraz kościoły i placówki edukacyjne, przeprowadzało zamachy na przedstawicieli władz i wojska, nie stroniło od wysadzania przystanków autobusowych i sklepów, później do listy wrogów dopisało nie dość radykalnych muzułmanów i ich meczety. Wrogiem są także kibice piłkarzy tłumnie śledzący brazylijski mundial – Nigeria zanotowała w dwóch pierwszych meczach w grupie F remis z Iranem i zwycięstwo z Bośnią i Hercegowiną. 18 czerwca w mieście Damaturu doszło do zamachu, w którym zginęło 24 kibiców. W tym roku atakowano i zabijano też oglądających mecze Ligi Mistrzów. Boko Haram nie zabraknie makabrycznych inspiracji, specjaliści przewidują, że zastraszanie Nigeryjczyków będzie się zaostrzać w miarę zbliżania się przyszłorocznych wyborów.

O państwie islamskich fundamentalistów w Iraku i Syrii piszemy na s. 44.



© CORBIS

Utopiona perła

Zazwyczaj Chiny zachwalają swoje wielkie inwestycje jako krok ku modernizacji i pośpiechu kraju. Zdarzają się oczywiście pomyłki i ostatnio najgłośniejszą z nich jest przypadek 80-tych. miasta **Hekou** w prowincji Yunnan. Jej zarządcy nakazali rozbiórkę czegoś, co w zamyśle miejskich urzędników miało być przyciągającą turystów i biznes „nadgra-

niczną perłą”. Hekou jest ważnym przejściem granicznym, leży nad Rzeką Czerwoną oddzielającą Wietnam i Chiny. W lutym 2011 r., wbrew sprzeciwom mieszkańców, zakończono zabudowę chińskiego nabrzeża, powstał tam długi na ponad kilometr pas 150 sklepów, restauracji, punktów usługowych i nadbrzeżnych tarasów. Całość kosztowała 270 mln juanów (równowartość 135 mln zł), ale trzy lata działalności kompleksu dowiodły, że wcale nie jest atrakcyjny, sprawia za to duże kłopoty eksploatacyjne i szpeci krajobraz. Burzenie będzie aż o 30 mln juanów droższe niż budowa, a powiat Hekou wyda na nie ponadroczne wpływy z podatków. Władze prowincji są bezlitosne i nie oglądają się na koszty, twierdzą, że zależy im przede wszystkim na ochronie wizerunku „bramy do Chin”. Dlatego na wszelki wypadek plany kolejnej inwestycji są skromniejsze i po wywózce gruntu teren ma być zamieniony na publiczny park.

Krewetka stanie ci w gardle

Krewetki: kiedyś luksus, dziś codzienna przyjemność – tak relację ze swojego śledztwa zaczynał dziennikarz „Guardiana”. Po kilku miesiącach dochodzenia prowadzonego w Tajlandii ustalili, że na niskie ceny mrożonych krewetek dostępnych w największych sieciach handlowych świata, m.in. w Tesco, Carrefourze i Walmarcie, pracują niewolnicy. Pochodzą głównie z Birmy i sami nieświadomie oddają się w ręce handlarzy ludźmi, którzy podają się za przemysłowców ułatwiających jedynie nielegalny przerzut imigrantów marzących o pracy w Tajlandii. Zamiast do lepszego życia nieszczęśnicy trafiają na pokłady kutrów. Tam biciem i tor-

turami zmuszani są do pracy przy połowach ryb, z których później produkowany jest pokarm dla krewetek hodowanych w specjalnych gospodarstwach. Uwięzieni miesiącami, a bywa, że latami, nie schodzą na ląd. Pracy przy sieciach mają mnóstwo, bo tajlandzkie wody to jedne z najlepszych łowisk w Azji. Wielu z przetrzymywanych decyduje się na skok za burtę i samobójstwo przez utopienie, nielicznym udaje się uciec, próbują ich też ratować organizacje walczące z handlem ludźmi. Skala zjawiska nie jest dokładnie znana, ale z opowieści kilkunastu uwolnionych Birmańczyków przepytanych przez Environmental Justice Foundation wynika, że co drugi z nich był świadkiem egzekucji przynajmniej jednego towarzysza niedoli.

Sieci supermarketów zapewniają, że naciskają na producentów krewetek, by zapobiegali się u uczciwych producentów pasz. Tylko że ani oni, ani rybacy nie chcą rezygnować z intratnego modelu biznesowego. Niewolniczego procederu nie są w stanie ograniczyć również tajlandzkie władze, ostatnio dodatkowo sparaliżowane niepokojami społecznymi i wprowadzonym w maju stanem wyjątkowym. Nadzieja więc już tylko w konsumentach i w ich decyzjach.



© EAST NEWS

Generał wypadł z okna

Ta tajemnicza historia zelektryzowała Moskwę, bo pokazuje, że wśród wysoko postawionych siłowników, ludzi służb, toczy się walka na śmierć i życie. I to dosłownie. Wiemy tyle: 16 czerwca wypadł z piątego piętra budynku Komitetu Śledczego (czegoś w rodzaju miejscowego FBI) generał MSW **Borys Kolesnikow**. 36-letni Kolesnikow wraz ze swoim szefem z głównego zarządu do spraw walki z korupcją, o rok starszym Denisem Sugrobowem, byli naj-

młodszymi generałami MSW i wrócono im błyskotliwą karierę. Załamała się gwałtownie w październiku ub.r., kiedy podczas spotkania w jednej z moskiewskich restauracji bogaty (i podstawiony) biznesmen zaproponował gen. Igorowi Demininowi, wiceszefowi kontrwywiadu Federalnej Służby Bezpieczeństwa, comiesięczne 10 tys. dol. za ochronę jego interesów, czyli żeby zapewnił mu kryszkę. I położył na stole stosowną kopertę. W tym momencie do akcji wkroczyli ludzie Deminina i udaremnił prowokację. Stali za nią Kolesnikow z Sugrobowem. Ten drugi wyleciał z pracy w lutym, decyzyją samego Władimira Putina, a Kolesnikow wraz z dziesięcioma współpracownikami z resortu został zatrzymany za nielegalne działania przeciw ludziom FSB. Intensywnie przesłuchiwany miał dwukrotnie podejmować próby samobójcze, a teraz według oficjalnej wersji uciekł strażnikom w toalecie i wyskoczył przez okno. Przed miesiącem trafił do szpitala z ranami głowy i urazem kręgosłupa, których podobno doznał, spadając z łóżka w celi. Dorzucono mu też zarzut zorganizowania grupy przestępczej i stwierdzono, że jest uzależniony od narkotyków. Więcej grzechów już nie zdążył popełnić.



© GAZETA RU



LIDIA
HOTEL
★★★★

Wakacje nad Bałtykiem

rodzinne / wyjątkowe / niezapomniane



dla dzieci
-50%*

- rodzinna atmosfera
- grillowanie
- dyskoteka
- sala zabaw dla dzieci
- animacje „duże i małe”

cena od

1.200 zł
od osoby

* w wybranych terminach

oraz wiele innych atrakcji !

Hotel Lidia SPA & Wellness

Tel.: + 48 94 314 30 38, E-mail: hotel@hotel-lidia.pl

www.hotel-lidia.pl

Są takie miejsca...

SENATOR
HOTEL
★★★★

www.hotelsenator.pl

UNITRAL
HOTEL WELLNESS MEDICAL SPA

www.unitral.pl



Wprost spod stołu



JERZY BACZYŃSKI

Jeśli tygodnikowi „Wprost” uda się doprowadzić do upadku rządu, wcześniejszych wyborów i ewentualnej zmiany władzy w Polsce, redakcja uzna to pewnie za historyczny sukces wolnej prasy, na miarę „Washington Post” z afery Watergate. Ale – hola! – nic w tej sprawie nie jest takie, jak na pozór wygląda. Dzisiejszy spektakularny sukces „Wprost”, zapewniający chwilowy skok sprzedaży i bezwzględne zwycięstwo w rocznych rankingach cytowań, może się zmienić w równie efektowną klęskę.

To, co się dzieje od kilkunastu dni, nie jest sukcesem polskiego dziennikarstwa, raczej dowodem jego patologii. Przykro mi o tym mówić, bo najście prokuratury i ABW na redakcję „Wprost” wywołało w środowisku medialnym naturalny odruch oburzenia i solidarności. Wielu dziennikarzy i redaktorów (łącznie ze mną) czuło się w obowiązku bronić publicznie fundamentalnej dla nas – i dla demokratycznego porządku – zasady ochrony źródeł informacji, ochrony samych dziennikarzy i miejsca ich pracy. To stawka większa niż „Wprost”. Prokuratura, co dosadnie wytknął minister sprawiedliwości, wykazała się tu co najmniej brakiem wyobraźni i profesjonalizmu. Nie chodzi o to, że prasa stoi ponad prawem, przeciwnie – jeśli media mają pełnić swą, przypisaną prawem, rolę „psów obronnych” demokracji, muszą mieć zagwarantowaną autonomię wobec władz państwa, swoistą nietykalskość. Przecież obowiązek ochrony źródeł informacji został zapisany w ustawach nie po to, żeby bronić rzeczników prasowych, ale właśnie źródeł nielegalnych czy półlegalnych, osób, które decydują się naruszyć swoje obowiązki służbowe, rygory tajemnicy i lojalności, aby ujawnić opinii publicznej informacje niewygodne, zakulisowe, zwłaszcza obnażające korupcję, nadużycia władzy, łamanie prawa. Jeśli raz zgodzimy się na to, że prokuratura, policja i służby specjalne mogą nachodzić redakcje, konfiskować komputery i zastraszać dziennikarzy w imię „interesu państwa i wymiaru sprawiedliwości”, będzie to oznaczało koniec mediów w ich najważniejszej społecznej funkcji.

Redakcje to ostatnie miejsca, w których prokuratorzy i śledczy, prowadząc swoje postępowania, powinni szukać dowodów. Bez trudu mogą sobie wyobrazić sytuację, gdy po zmianie władzy jacyś nowi prokuratorzy, w stylu Zbigniewa Ziobry czy Mariusza Kamińskiego, uznaliby, że np. w komputerach POLITYKI mogą się kryć jakieś informacje zagrażające bezpieczeństwu państwa i spokojowi społecznemu... Niewiele tu media mają na swoją obronę, poza wątpliwą solidarnością środowiska. Tym razem, okazało się, mogliśmy też liczyć na poparcie rządu i premiera, także zbulwersowanych absurdalną akcją prokuratury, prowokującą tandetne tytuły w tabloidach, pod hasłem „Tusk bije dziennikarzy”. Ale to sytuacja doprawdy wyjątkowa, by rząd wziął w obronę

tych, którzy chcą go wykończyć. Tyle o tym, żeby w miarę precyzyjnie określić motyw i granice naszej solidarności z „Wprost”. Bo dalej już jest gorzej.

Tzw. taśmy „Wprost” to kompromitacja dziennikarstwa śledczego, być może ostateczna. Już bodaj od dekady pracochłonne i kosztowne dziennikarstwo śledcze zostało w polskich mediach wyparte przez wrzutki ze służb specjalnych. Szczególnie zabójczy był tu okres IV RP, gdy najbardziej sensacyjne materiały nosiły ewidentne cechy sterowanych przecieków, adresowanych do wybranych mediów i dziennikarzy. Spore zasługi ma tu ówczesny „Wprost”, który zyskał sobie nawet miano „słupa ogłoszeniowego służb specjalnych”. Prawdziwe dziennikarstwo śledcze zawsze będzie przegrywać (bo brak mu sił i środków) z profesjonalną agenturą. A co dzieje się teraz? Są dwie wersje, jedna gorsza od drugiej. Albo dziennikarz redakcji Piotr Nisztor (czytaj – s. 15) aktywnie uczestniczył w zakładaniu podsłuchów, albo redakcja jest bezwolnym narzędziem w rękach niezidentyfikowanej grupy hakowej. Motywy działania tej grupy możemy ocenić tylko po skutkach: nawet jeśli początkowo chodziło „tylko” o szantaż, publikacja nagrań ma służyć kompromitacji władzy, zapewne wywróceniu rządu. Wolno? Wolno. Ale co powinna w takiej sytuacji zrobić redakcja, której przyniesiono nielegalnie zdobyte nagrania?

Zasady postępowania są tak stare jak historia wolnej prasy. Trzeba ocenić wiarygodność i prawdziwość zapisu, zadać sobie pytania o to, kto i dlaczego dokonał nagrań, przesłuchać taśmy, wydobywając z nich to, co może świadczyć o popełnionym przestępstwie lub zamiarze złamania prawa, ocenić, jaką część materiału warto jest ujawnić w interesie publicznym, a co powinno pozostać prywatne, zważywszy na charakter, okoliczności czy konwencję podsłuchanej rozmowy. W przypadkach szczególnych, opisanych w prawie, gdy nagranie może zawierać informacje dotyczące zbrodni, groźby terroryzmu, zdrady czy zamachu stanu, redakcja powinna rozważyć zawiadomienie odpowiednich władz. Tak by było w teorii, zwłaszcza według klasycznych amerykańskich podręczników „wolnego i odpowiedzialnego dziennikarstwa”. Ale te czasy minęły.

Dziś media są przede wszystkim biznesem. Rozprawianie o misji i odpowiedzialności publicznej jest wręcz niepoważne i żenujące, liczy się sprze-



© LESZEK ZYCH

daż, szum, cytowania, atrakcyjność publikacji, zwłaszcza zdolność wywoływania emocji. To logika wniesiona do systemu prasy przez tabloidy, dziś dominujące na wszystkich rynkach prasowych, i rozciąga się od dzienników po telewizję informacyjną. W takim przekazy, wracając do naszych podsłuchów, najważniejsze, najpiękniejsze są przekleństwa, omawiana długość członka, ośmiorniczki na stole, wymienianie plotki i złośliwości. Merytoryczny sens rozmowy i jej konteksty – gdyby ktoś na poważnie chciał się tym zajmować – toną w tych didaskaliach, stając się jednym skandalem. I tak ma być, bo chodzi o produkowanie skandali i społecznego oburzenia. Oto różnym rządowym mądralom ściągamy majtki, i to przez głowę. Teraz są naprawdę pocieszni. Ich wina, że „dali się” nagrać, tak jakby osoba pełniąca jakieś funkcje publiczne musiała żyć w wiecznym strachu przed inwigilacją. Ale prawo prasowe jest tak skonstruowane, że tak samo traktuje i chroni żyjące z naruszania prywatności tabloidy, jak tradycyjne gazety; pozwala im powoływać się na te same wartości, przywileje i zawodowe zasady.

Wróćmy jeszcze na chwilę do „Wprost”. Historycznie ten ukazujący się od 30 lat tytuł należy do tzw. tygodników opinii. Ale pisma tego segmentu już dawno nie mają ze sobą wiele wspólnego, poza cyklem wydawniczym i podobną formą graficzną. To naturalne, każdy szuka swojej niszy. „Wprost”, zapewne wskutek licznych meandrów politycznych i rynkowych, znalazł się pod sam koniec stawki, ze sprzedażą ostatnio sięgającą ledwie pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. To jest już poziom niebezpiecznie niski. Wydawca „Wprost”, giełdowa spółka Media Point Group (także wydawca prawicowego tygodnika „Do Rzeczy”), w ostatnim czasie notował ciężkie straty i spadek wartości akcji. Branżowy miesięcznik „Press” przed paroma tygodniami skrupulatnie (i zabawnie) opisywał propagandowo-marketingowe zabiegi wydawcy adresowane do inwestorów i reklamodawców. Przed rokiem „Gazeta Finansowa”

opisywała z kolei przypadek swoistego szantażu wydawcy wobec Totalizatora Sportowego i PKP, według formuły – albo kontrakt na 2 mln zł, albo niekorzystne publikacje. Sprawa jakoś nie miała dalszego ciągu, mimo że i tam wchodziły w grę jakieś nagrania. Nowy redaktor naczelny tygodnika Sylwester Łatkowski, któremu konkurencyjny wobec „Do Rzeczy” tygodnik „wSieci” nieustannie wypomina „gangsterską przeszłość”, próbuje nadać pismu charakter bezkompromisowego ujawniacza tajemnic (słynne zegarki ministra Nowaka) – na tym zapewne jest oparty biznesowy model gazety. Nie są to okoliczności sprzyjające rozwadze czy wstrzemięźliwości. Zwłaszcza że jeśli nie my, to ktoś inny weźmie, opublikuje i zarobi. Wystarczy popatrzeć choćby na sposób sprzedawania przez „Wprost” taśmowych rewelacji, żeby nabrać wątpliwości co do – deklarowanych – podniosłych motywów publikacji. Paradoksalnie jednak, wskutek wspomnianej akcji prokuratury, „Wprost” i jego redaktor awansowali (się) na pozycję sztandarowych obrońców wolności prasy, jej standardów i honoru (vide okładka z bieżącego tygodnia).

I jeszcze o samym korzystaniu przez media z nielegalnych nagrań, podsłuchów czy prowokacji. Kiedy jeszcze były jakieś dziennikarskie doktryny i kodeksy etyczne, przyjmowało się, że po tak szczególne środki można sięgnąć wtedy, gdy nie ma innego sposobu oficjalnego dotarcia do ważnej publicznie wiedzy i, warunek drugi, zachodzi podejrzenie naruszenia prawa przez „figurantów”. Podsłuchiwanie jak leci, na wszelki wypadek, masowe naruszanie prywatności, bo może coś z tego uda się wykorzystać, jest groźną uzurpacją. Pomijam już kwestie, tak jak w tym przypadku, destabilizacji państwa czy rządu, bo nie każdy musi dobrze życzyć jednemu czy drugiemu. Konstytucyjna zasada wolności słowa ma swój prawny i etyczny rewers – odpowiedzialność. Wolność bez tego słowa na „o” staje się własną karykaturą.

Jan Koza



© JAN KOZA

Papierowy zamach stanu

Po raz pierwszy w swej prawie siedmioletniej historii rząd Donalda Tuska stanął na krawędzi upadku. Chyba że służby specjalne złapią zlecniodawców i dysponentów nagrań, a ci okażą się postaciami na tyle ponurymi, że swoimi biografiami przykryją treść nagranych rozmów.

JANINA PARADOWSKA

Nie musi to być upadek natychmiastowy, bo brakuje nie tylko procedur dla szybkich przedterminowych wyborów czy powołania nowego gabinetu, ale także woli sił politycznych. Premier też się nie poddaje. Rzecz jednak w tym, że walczy z cieniem. I tak może pozostać, gdyż w dotychczasowej historii tylko raz zdarzyło się wykrycie sprawy przecieku, jakim był swego czasu szef Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wszyscy inni pozostają nieznanymi, a dochodzenia umorzono. Jeśli teraz coś jest inaczej, niż było, to ze względu na bezprecedensową w świecie skalę procedury, sprawiającą wrażenie zmasowanego ataku na wszystkie struktury państwa.

Tymczasem kolejne nagrania ciekną, lista podsłuchiwanych rośnie i ich waga polityczna jest rzeczywiście ciężka. Minister spraw zagranicznych swoimi negatywnymi opiniami o sojuszu polsko-amerykańskim stawia premiera w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji, podając w wątpliwość ważny segment polityki zagranicznej, w który mocno zaangażowany jest prezydent. Jak dotąd na liście są: szef MSW, b. minister finansów, minister skarbu, b. rzecznik rządu, szef CBA, a na dodatek szefowie bardzo ważnych instytucji w państwie, prezosi banku centralnego i NIK oraz menedżerowie (szef PKN Orlen), największy przedsiębiorcy prywatni (Jan Kulczyk).

To w istocie spłot słoneczny państwa i w to miejsce poszło uderzenie. Nie wiemy, gdzie i kiedy to się zatrzyma, bo nagrań dokonywano przez długi czas. Piotr Nisztor, wypróbowany wielokrotnie pośrednik w dostarczaniu takich przesyłek do róż-

nych mediów, zasugerował, że to są setki godzin nagrań. Może przesadzał, aby podnieść temperaturę życia publicznego, ale tego nie wiemy.

Jeśli nagrywano nielegalnie tak wiele osób z najwyższych kręgów władzy i biznesu, to w jakiejś „bibliotece” są dziś schowane potężne instrumenty destrukcji i szantażu. Pytanie, kto ma do tej biblioteki klucze? Prokuratura i służby specjalne potrzebują czasu na działanie. O niewielkiej wiedzy śledczych zdaje się świadczyć fakt, że dotychczas jedynym podejrzanym w aferze podsłuchowej jest VIP manager restauracji pana Sowy Łukasz N. (wypuszczony za kaucją, bo też przestępstwo nielegalnego podsłuchiwanie zaliczone jest do pospolitych i zagrożone karą grzywny lub więzienia do lat dwóch). Jest też oświadczenie szefa wydziału, że dysponentem nagrań jest jakiś biznesmen. Ale czy tu w ogóle można w coś i komukolwiek wierzyć? W tej sprawie będzie się pewnie pojawiało wiele fałszywych tropów. Niestety, ujawniona już dramatyczna niesprawność służb ochrony państwa nie zapowiada rychłego finału śledztwa. A czas pracuje na niekorzyść premiera.

Najlepszym przykładem jest sprawa ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Premier na pierwszej konferencji prasowej przekonująco uzasadniał, dlaczego tej dymisji, praktycznie już przez media przesądzonej, nie ma. Nie będzie bowiem realizował scenariuszy pisanych przez nieznanych sprawców – przestępców, nie może w takim momencie destabilizować ważnego resortu, a ministrowi musi szczególnie zależeć na szybkim wyjaśnieniu sprawy. W dwa dni później, już po najściu prokuratury

na siedzibę „Wprost”, cała ta argumentacja okazała się nieważna, ponieważ minister złożył w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa (inna kwestia – po co? – śledztwo i tak by trwało), został przesłuchany, stał się stroną w sprawie, a podległe mu służby popisały się wyjątkową niekompetencją (przynajmniej według obrazów, które przez wiele godzin oglądaliśmy), co mogło ugruntować przekonanie, że i tak niczego nie wykryją, a do redakcji posłano je, aby uniemożliwić druk dalszych podsłuchów.

Ponadto, jeśli linia rządu jest taka, że najważniejsze jest to, kto nagrywał i w jakim celu, to Sienkiewicz też jest tu osobą odpowiedzialną – za to, że procederowi podsłuchowemu, jako szef służb, nie zapobiegł i wyraźnie nie miał o nim pojęcia. Mimo że to klasyczne przestępstwo do badania właśnie przez służby specjalne. Ale premier ponownie stwierdził, że nikogo nie odwoła za „niecenzuralne wypowiedzi” – ani Sienkiewicza, ani innych nagranych urzędników. Więc zapewne podobnie będzie z Radosławem Sikorskim.

Jeśli chodzi o znane nam dotychczas podobno w całości nagrania, to rozmowa b. ministrów Nowaka i Parafianowicza jest już przedmiotem prokuratorskiego śledztwa i jako taka przestała budzić emocje, zaś druga, szefa MSW z prezesem Belką, im bardziej jawna, tym mniej staje się dla mediów atrakcyjna. Większość komentarzy skupiła się już na stylu i słownictwie, które stało się przedmiotem żartów, przykrych dla rozmawiających, obniżających ich autorytet, bo rzeczywiście sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie ma co zazdrościć.

Rozwiał się jednak sporo mitów, które serwowano nam początkowo, gdyż okazało się, że wiedza podsuwana nam przez „Wprost” dawkowana była w sposób – powiedzmy delikatnie – specyficzny. Np. fragment druzgocący politycznie Sienkiewicza, że „państwo polskie nie istnieje”, umieszczony w kontekście całego zdania nie zawiera żadnej nagannej myśli. Jest po prostu dość powszechnie znanym opisem rzeczywistości, w której różne instytucje ze sobą nie współpracują. Sienkiewicz mówi bowiem w istocie, że państwo działa dobrze fragmentami, ale ciągle nie jest postrzegane jako całość. Nie ma w tym nic obrazoburczego. Kalendarz prac nad założeniami ustawy o NBP, czyli nawet jeszcze nie projektem, przedstawiony przez ministra Mateusza Szczurka, obala z kolei mit, że handlowano ustawą. Pierwsze założenia powstały w marcu ubiegłego roku, a najbardziej kontrowersyjne zmiany na korzyść silnego NBP powstały za ministra Rostowskiego. Nie ma też problemu ustalenia, oczywiście pod warunkiem, że chce się to ustalić, procesu odchodzenia ze stanowiska ministra Jacka Rostowskiego.

Nie dajmy się zwariować. Czy takich rozmów nie prowadzi się w wielu miejscach i to nie tylko w Polsce. Czy były prezes NBP Sławomir Skrzypek nigdy nie rozmawiał z Jarosławem Kaczyńskim na podobne tematy? Paradoksalnie podejrzewany dziś o polityczne kombinacje obecny prezes NBP jako premier nie wykorzystwał w trakcie kampanii wyborczej, w której startował, budżetowej nadwyżki w wysokości 5 mld zł, ale zostawił ją w spadku rządowi Kazimierza Marcinkiewicza, o co jego polityczni koledzy mieli do niego sporo pretensji.

Teza, że w rozmowie handlowano stanowiskiem ministra finansów i ustawą w zamian za dodrukowanie pieniędzy, gdyby zabrakło ich rządowi w roku wyborczym, jest w świetle faktów nie do obrony. Ale ona już istnieje w społecznej świadomości i nie da się jej wymazać. Powtarzają ją zagraniczne media. Pojawiła się ona wręcz jako próba szantażu w artykule w serwisie Bloomberg, gdzie jakiś dyletant określający Marka Belkę „najgorszym prezesem europejskiego banku centralnego” wzywa rząd (!) do zdymisjonowania prezesa NBP i kompletnie bezrefleksyjnie powtarza wyraźnie politycznie intencjonalne opinie niektórych polskich komentatorów.

To są niesłychanie trudne do odrobienia straty wizerunkowe. O tym przesądziły pierwsze godziny medialnej nawałnicy, komentarze, także tak zwanych ekspertów, którzy niewiele wiedząc albo nie wiedząc nic, orzekali o złamaniu konstytucji i innych naruszeniach prawa. To jest zresztą mechanizm działania wszystkich polskich afer i tak zwanych afer, że półprawdy i manipulacje obrastają niekompetentnymi, politycznie intencjonalnymi komentarzami, plotkami, przeciekami i w końcu ustalenie prawdy nie ma już żadnego znaczenia, bo ona zwykle jest o wiele mniej efektowna i o wiele mniej skandaliczna.

Materiał przedstawiony przez tygodnik skutkuje dotychczas jednym prokuratorskim śledztwem oraz polityczną zawieruchą. Przeżyliśmy więc falę politycznych uniesień i propozycji natychmiastowego rozwiązania „kryzysu państwa”, którego „ochronę” zapowiada naczelny tygodnika „Wprost”, najwyraźniej kpiąc z opinii publicznej i z władzy, którą po prostu szantażuje. Ta ekipa musi odejść – zgodnie wołali Jarosław Kaczyński i Janusz Palikot. Kaczyński był jednak ostrożniejszy i najpierw zapowiedział jedynie rozmowy z innymi partiami na temat powołania nowego rządu, z których nic nie może wynikać, zwłaszcza że demonstracyjnie wykluczył Palikota. Potem jednak stwierdził, że PiS złoży wniosek o votum nieufności bez względu na wyniki negocjacji.

W sukurs Kaczyńskiemu przyszedł Jarosław Gowin, który, praktycznie już zapisany do PiS, po całonocnej ponoć rozmowie z prezesem zaproponował, aby premierem technicznym został prof. Jerzy Hausner, mający powody, by czuć się rozmową ministra z prezesem NBP dotknięty. Nie wiadomo jednak, czy na tyle, aby stać na czele rządu, którym kierować będzie z tylnego siedzenia Kaczyński.

Palikot poszedł na całość i zażądał wcześniejszych wyborów, co jak na partię mającą za sobą przegrane wybory europejskie i poparcie w granicach błędu statystycznego jest szarżą brawurą. SLD był nieco ostrożniejszy. Ostro (warto zauważyć, że pod nieobecność Leszka Millera, który dopiero po powrocie z urlopu zaczął nieco porządkować swoje szereg) w słowach potępiając obecną ekipę, zaproponował, aby rząd sam zażądał votum zaufania, a więc sprawdził, czy ma jeszcze większość.

Rząd większość ma, ponieważ z żadnej wypowiedzi prezesa PSL wicepremiera Janusza Piechocińskiego (który po wyborach do PE ma mocniejszą pozycję, gdyż kandydaci Waldemara Pawlaka w wyborach do PE poległ) nie wynika, iżby ludowcy ulegali opozycyjnym pokusom. Przeciwnie, stanowisko PSL jest wyważone i spokojne: najpierw ustalmy, o co chodzi, kto stoi za nielegalnymi nagraniami, a jeśli to się nie uda do końca wakacji, dopiero zmieniamy rząd. Pojawiły się też inne rutynowe propozycje w rodzaju komisji śledczej oraz oczywiście votum nieufności wobec szefa MSW. Tydzień był jednak długowiekendowy, a więc w gruncie rzeczy ulgowy. Jedną jazdą zacznie się wraz z posiedzeniem Sejmu. I oczywiście po kolejnych publikacjach.

Na razie w szeregach opozycji zapanował chaos i namnożyło się tyle scenariuszy, że z żadnego nic raczej nie wyniknie. Trudno przypuszczać, aby w ciągu najbliższych dni udało się wyjaśnić, kto organizował podsłuchy, a tylko to mogłoby wylać nieco oliwy na wzburzone fale. Ma też spory kłopot Marek Belka, bo pojawił się pomysł, którego lekceważyć nie można, czyli postawienie go przed Trybunałem Stanu. PiS ma wystarczającą liczbę posłów, aby taki wstępny wniosek zgłosić i choć oczywiście żadnego trybunału w efekcie nie będzie, będą jednak debaty, szarpaniny, co nie może wpływać korzystnie na stabilność naszych finansów, pieniądza i prezesa. Trudno więc dziś przesądzać, czy Marek Belka pozostanie na stanowisku.

Premier pierwszy raz powiedział, że przyspieszone wybory są możliwe, może nawet okazać się niezbędne, ale chyba nikt nie potraktował tego serio. Szkoda, wydaje się, że w poważnej polityce trzeba rozważać wszystkie warianty. Tymczasem prezes Kaczyński postawił od razu ►